

DYHERNFURTH II - OBOZ KAŻNI

W okresie okupacji hitlerowskiej zamieszkiwałem w miejscowości Łapy, województwo Białystok; tam też zostałem aresztowany przez Gestapo w dniu 5 kwietnia 1944 roku i przebywałem w więzieniu gestapowskim w Białymstoku, skąd w dniu 5 lipca 1944 roku zostałem skierowany do obozu koncentracyjnego Gross-Rosen.

Z naszej grupy aresztowanych, jak pamiętam, trafili do tego obozu: Bolesław Usarewicz nr 4399, Roman Usarewicz nr 4400, Stanisław Majkiewicz, Lubomir Braun, Józef Łapiński, Adolf Miler.

W obozie Gross-Rosen nosiliśmy kamienie z kamieniołomu do obozu i spowrotem z obozu do kamieniołomu. Następnie we wrześniu /daty dokładnie nie pamiętam/ 1944 roku zostałem skierowany z grupą innych więźniów do komanda Dyhernfurth II i przebywałem tam w baraku nr 5. Wraz ze mną do tego komanda został skierowany Lubomir Braun, a w obozie tym poznałem bliżej osoby: Kazimierz Hałgas - były lekarz, obozowy i Bronisław Sowa.

W Dyhernfurth pracowałem w komandzie budowlanym, gdzie wykonywałem różne prace ziemne, wyładunek cementu i innych materiałów budowlanych z wagonów, a i różne załadunki na wagony, jak również pracowałem przy ładowaniu ziemi-piasku na podstawiane wagoniki, którymi była wywożona. Naszym kapo na tym komando /jak pamiętam/ był ślązak mówiący źle po polsku o imieniu Karol.

Komando nasze nazywano Komando Dyhernfurth II - obóz leśny. W komandzie tym praca była bardzo ciężka, można powiedzieć nawet, że ponad siły więźniów wycieńczonych głodem i pracą, a przy tym funkcyjni więźniowie, chcąc się przypodobać esesmanom ciągle nas poganiali przy pracy, nie żałując kija. Toteż więźniowie, którzy początkowo po przyjeździe z więzienia do obozu i mając pewien zasób siły jako tako wyglądali, to po krótkim okresie czasu opadali z sił, mużułmianieli i wykańczali się przy głodowych racjach wyżywienia, a potem wracali do Gross-Rosen w skrzyni prosto pod krematorium.

Kiedy zaczął się zbliżać front ze wschodu wiedzieliśmy, że może nadejść upragniona dla nas wolność, gdyby szybkim manewrem oskrzydającym Armia Czerwona zajęła tamtejsze tereny. Ale niestety nie doszło do tego, chociaż tak strasznie pragnęliśmy wszyscy Wyzwolenia. Czekaliśmy jeszcze wielkie trudy i wielu z nas miało jeszcze paść, aby przejść przez piece krematoryjne obozów.

W dniu 23 stycznia 1945 roku w godzinach wczesno-rannych wszystkich nas mogących jeszcze chodzić wypędzono w marsz ewakuacyjny do Gross-Rosen, bez wydania jedzenia. Co prawda jedzenie było przygotowane dla nas, ale kierownictwo obozu SS zaleciło wszystko wylać, a nas głodnych wypędzono na trasę marszu.

Wiedzieliśmy, że będzie to marsz śmierci i każdy, kto upadnie z wyczerpania, zostanie z miejsca zastrzelony przez konwojujących nas SS-manów.

Było wówczas bardzo mroźno, duży śnieg leżał na wszystkich drogach, a przecież my wszyscy więźniowie mieliśmy lekkie drelichy-pasiaki, które nie dawały ciepła i nie chroniły przed zimnem,

nawet gdy ktoś miał płaszcz z pasiaka, to i on też nie dawał zbyt-
nego ciepła. Obuwie też w większości mieliśmy marne i nie chro-
niło naszych nóg od zimna. Do tego wszystkiego prowadzono nas bo-
cznymi drogami nie przetartymi, a zaśnieżonymi, co jeszcze utrud-
niało nasz makabryczny marsz. Głównymi drogami uciekali cywile
niemieccy i wycofujące się wojsko.

Noc z 23 na 24 stycznia spędziliśmy w jakiejś cukrowni /nie
pamiętam jaka to była miejscowość/. Spaliśmy tam pod gołym nie-
bem na śniegu. Dla ogrzania się utworzyliśmy coś w rodzaju mro-
wiska. Skłębieni wszyscy razem staraliśmy się ogrzać wspólnie
własnymi ciałami jeden drugiego.

W międzyczasie ci zbyt przynięceni w środku po rozgrzaniu
wydostawali się na zewnątrz i siadali jako pierwsi tego zgrupo-
wania, a następnie skupiali się bliżej do środka i tak nasza ma-
sa ludzka stale była w ciągłym ruchu oczekując świtu.

Na terenie cukrowni stał wagon załadowany wysłodkami. Niekt-
órzy wygłodniałi więźniowie rzucili się na nie jeść i jedli je
zimne zmarznęte, nie patrząc na to, jakie mogą być tego potem
skutki, a przecież nie zastanowili się, że mają puste żołądki,
ale nie potrafili się powstrzymać od zjedzenia czegoś, co by da-
wało przekonanie o najedzeniu się. No i nie trzeba było długo
czekać na efekty tego najedzenia się, bo większość kolegów dosta-
ła biegunki. Najbardziej z tego wszystkiego utkwił mi w pamięci
obraz, jak trzech Tatarzy /pracowali w komandzie przy betoniarni/
po najedzeniu się tych wytlóczyn przeżywali swoją tragedię. Jeden
z nich miał tak silną biegunkę, że po pewnym czasie zupełnie os-
łabł. Pomagali mu w marszu pozostali dwaj koledzy. Ale po jakimś
czasie i oni zupełnie osłabli, bo i ich męczyła biegunka. Ciągnę-
li go więc za sobą, ale wreszcie nie dawali rady, bo nie mieli
już sił na to. Kilka razy go zostawiali, ale potem wracali po nie-
go i znów dźwigali go, lub ciągnęli parę metrów po śniegu. Płaka-
li przy tym, że nie mieli sił ciągnąć go dalej, aż wreszcie mu-
sieli go pozostawić esesmanom do dobicia.

Tę ich rozpacz do dzisiejszego dnia mam w "oczach". Muszę za-
znaczyć, że przy wymarszu nie otrzymaliśmy przecież nic do jedze-
nia, a przeszliśmy tyle kilometrów, a nie wiedzieliśmy ile ich
jeszcze mamy przed sobą. Jedzenia nie było i kiszki skręcały się
z głodu tak że nie można się dziwić, że wielu więźniów jadło te
wytłoki. Jednak ci, co zjedli ich mniej, to tego tak nie odcho-
rowali.

Po przybyciu do Gross-Rosen w dniu 24 stycznia wieczorem od-
raz skierowali do tak zwanego drugiego obozu "oświęcimskiego",
który był odgradzony dodatkowym płotem i była do niego druga bra-
ma, na której trzeba się było odmeldowywać, jak przy przejściu
przez bramę główną.

Tutaj warunki były makabryczne, bo w starym obozie była do-
prowadzona woda, ubikacje były skanalizowane, a tutaj nie było
wody, nie było ubikacji, w wielu barakach nie było podłóg, albo
były, ale się sypiało na rozsypanej słomie, a raczej trudno to
było nazwać słomą, a raczej roztartą sieczką, względnie nie by-
ło podłogi, a spało się na mokrej ziemi. Cały teren ginął w roz-
robionej glinie bez przejść, a tylko wybrukowana była główna "le-
gerstrasa", a do pozostałych baraków trzeba było przechodzić w
mazi wyrobionego stopami więźniów błota, czy gliny, gdzie topiły
się nogi z obuwiem, tak że trzeba było bardzo uważać aby nie zgu-
bić ich w błocie.

Jedzenie było wydawane jeszcze w mniejszej ilości niż u nas w komandzie. Raz dziennie dostawaliśmy kawałek chleba dzielony chyba na dwunastu więźniów, a zupę wydawano w większości w nocy, bo kuchnia nie mogła nadążyć z gotowaniem dla wszystkich więźniów. Zresztą nie wiem, czy to, co wydawano, można było nazwać szumną nazwą "zupa", bo była to raczej ciepła - zagrzana woda, do której wrzucano trochę brukwi, czy innych zgniłych produktów, i to przeważnie nieosolonych, ale zawsze było to coś w miarę ciepłe.

Nieraz długo trzeba było oczekiwać na to jedzenie, a jak przywieziono, to nie zawsze tyle kotłów, ile miało być wydane na dany blok, a to temu, że kiedy przejeżdżano z pojemnikami przez "stary obóz", to tam czychali wygłodzeni więźniowie, którzy rzucali się na te konwoje i przewracali kotły z zupą, aby się wylała na lagerstrasę, a potem zbierali to jedzenie rękami albo do przygotowanych misek i jedli. Nie pomagało to, że każdy taki transport jedzenia był pilnowany przez kilkunastu funkcyjnych z naszego obozu, z kijami; rzucali się na jedzenie nie patrząc, że mogą być poważnie pobici lub nawet zabici mocnym uderzeniem kija.

Tak żyjąc, doczekaliśmy się dnia 6 lutego 1945 roku, kiedy to uformowano kolumnę ewakuacyjną i po zaprowadzeniu nas na stację kolejową Gross-Rosen /bo i tak samo nazywała się stacja/ załadowano nas na czekające wagony węglarki otwarte, a po załadowaniu wyruszyliśmy w dalszą nieznaną drogę.

Naszym następnym miejscem docelowym okazał się obóz Mittelbau-Dora, gdzie otrzymałem numer obozowy 115956. Podałem się tam za ślusarza i pracowałem w małym komandzie przy Dorze, gdzie pracowałem przy spawaczach, ale była to już praca pod dachem.

Stamtąd w kwietniu 1945 roku znów wyszliśmy na marsz ewakuacyjny, podczas którego zdołałem zbiec i ukrywać się, aż do chwili wyzwolenia.

Mój brat Roman miał w Gross-Rosen numer obozowy 4400 i został skierowany do innego podkomanda Gross-Rosen, skąd trafił potem transportem ewakuacyjnym do Mauthausen, skąd powrócił do kraju. Zmarł w Gdańsku w ubiegłym roku na serce.

Pragnę tutaj nadmienić, że nigdy zarówno z bratem, który również przeżył makabrę obozów koncentracyjnych nie rozmawialiśmy na ten temat i nigdy nie wspominaliśmy tych przykrych tematów. Tak samo nigdy w domu nie mówiłem swoim dzieciom o okropnościach jakie przeszedłem w obozach. Po pierwsze, nie lubię wracać do tych chwil w rozmowie, a po drugie, czy młodzież zrozumie nasze przeżycia? Czy uwierzy w to co przeżyliśmy? To trzeba przeżyć samemu, wtedy się wie, co to jest obóz koncentracyjny.

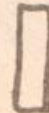
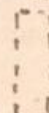

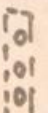
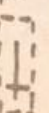


Nr archiwum Gross-Rosen 3.6.3.7.

PLAN FILII OBOZU GROSS - ROSEN

DYHERNFURTH II
KOMANDO "LURANIL"

w/g. BOLESŁAWA USARIEWICZA P-4399
ORAZ ZAŁĄCZONYCH ZDJĘĆ TEGO OBOZU z 1946r.

LEGENDA

-  BLOK MIESZKALNY ISTNIEJĄCY
-  BLOK NIESTNIEJĄCY
-  SZUBIENICA
-  LATRYNY
-  TRUPIARNIA
-  BUNKRY BETONOWE DLA SS
-  SKŁADY DREWNY DRZEWY DO OBOZU

